

ZANIM POWRÓCIŁYŚMY DO POLSKI

Kiedy wybuchła wojna we wrześniu 1939 r. miałam 12 lat. Mój ojciec Hilary Frijaf był osadnikiem wojskowym, właścicielem działki w osadzie Chlewiszcze pow. Drohiczyn Poleski. Moja rodzina, to mama Witolda, ojciec Hilary, brat Tadeusz, i ja Zofia Danuta.

Rodzice przybyli z różnych stron. Mama przyjechała z Mińska (Białoruś), gdzie mieszkała z rodzicami i dwiema siostrami. Urodziła się pod Wilnem w rodzinie Bychowców. Tatuś urodził się w Lipowcu na Ukrainie, średnią szkołę kolejową skończył w Odessie, brał udział w I Wojnie Światowej, a następnie w r. 1916 (tak mi się wydaje) wstąpił do Polskiego Wojska do 10 Dywizji Piechoty pod dowództwem gen. Małachowskiego. Brał też udział w wojnie polsko-bolszewickiej w latach 1919-1921 r.

Po zakończeniu wojny otrzymał działkę wojskową na Polesiu. W 1924 r. ożenił się z Witoldą Bychowcówną. Zamieszkali początkowo w małym dworku na działce gen. Małachowskiego, sąsiadującej z naszą działką. Tam się właśnie urodziłam w 1927 r.

W latach trzydziestych rodzice wybudowali drewniany dom. Były tam trzy pokoje, duża kuchnia i pomieszczenia gospodarcze. Dom był kryty blachą, w 1937 r. został otynkowany z zewnątrz i wyglądał bardzo ładnie. Wybudowane zostały także budynki gospodarcze, a w r. 1936 duża obora ze stajnią i małym mieszkaniem dla służby.

Dom i zabudowania stały w małym lasku brzozowo-olchowo-dębowym. Od południa był ogród warzywny, ogródek kwiatowy i sad. W lasku rodzice urządzili mały park z alejkami i ławeczkami, był też staw z rybami. W odległości ok. 300 m. na południe biegła szosa z Kobrynia (chyba) do Drohiczyna wysadzana w Chlewiszczach wysokimi starymi brzozami. Za szosą w odległości ok. 500 m. biegła linia kolejowa Brześć-Pińsk. Do Drohiczyna jechało się szosą na wschód. Odległość wynosiła ok. 5 km.

Naszymi sąsiadami byli wymieniony już gen. Małachowski, który nigdy chyba na działce nie mieszkał, pan kapitan Stefan Rawicki (zginął w Starobielsku), Jan Kitras, por. Józef Szykowski, rodzina Ostrowskich, Żaboklicki, innych nazwisk nie pamiętam. Osadnikiem był także p. Olesiak, wójt naszej gminy Braszewicze.

Działka na której mieszkaliśmy obejmowała pow. 17 ha ziemi ornej, łąk i lasu. Ziemia była różna, uprawiano żyto, owies, jęczmień a miejscami pszenicę, no i naturalnie ziemniaki. Ojciec siał również rośliny pastewne jak seradela, koniczyna i inne. Hodowano parę krów, sporo świń, konia i ptactwo domowe. Do pracy wynajmowaliśmy ludzi z pobliskich wsi. Zawsze była służąca, parobek, pastuch, a przy żniwach i wykopkach pracowali najemni.

Ojciec mój był dyrektorem Banku Spółdzielczego w Drohiczynie, nie

mógł więc sam zajmować się działką. Mama zajmowała się domem i dziećmi. Ojciec często pracował społecznie, był entuzjastą spółdzielczości i jej działaczem, w latach trzydziestych (nie pamiętam roku) kandydował do sejmu. Był także znany i popularny wśród ludności białoruskiej. Chłopi przychodzili do ojca po poradę w różnych sprawach.

Ja i młodszy o dwa lata brat Tadeusz wychowaliśmy się i uczyliśmy w domu. Uczyła nas mama. Do szkoły powszechnej poszłam od razu do piątej klasy. Jeździłam do szkoły rowerem, a zimą mieszkalam na stacji w Drohiczynie. Brat uczył się tylko w domu. Mama była z zawodu nauczycielką, więc z nauką nie mieliśmy kłopotów.

Tak było do marca 1939 r., kiedy to ogłoszono mobilizację i ojciec, porucznik rezerwy, został powołany do służby wojskowej początkowo do Słonimia, a później do Baranowicz. Przyjeżdżał parę razy na urlop do domu, a w lipcu wrócił po interwencji banku do domu, niestety nie na długo. W końcu sierpnia ogłoszono powszechną mobilizację i 6 września (miał na kilka dni zwolnienie lekarskie) znów pożegnaliśmy ojca, już na zawsze. Jakie były to pożegnania nie będę opisywać.

Była wojna, a my zostaliśmy tylko z mamą. Co wtedy przeżywała mogę sobie wyobrazić dopiero teraz. Wtedy byliśmy dziećmi i chociaż pewnie baliśmy się, ale też pełni emocji przeżywaliśmy i nalot samolotów niemieckich bombardujących stację Drohiczyn i pożar olbrzymich stogów siana stojących przy niej,

przygotowanych chyba dla wojska.

Po paru dniach przybyli do nas samochodem krewni spod Warszawy, więc w domu zapanował ruch i gwar. Zaczęło też przybywać polskie wojsko, któremu, pamiętam przygotowywano posiłki. Wszystko to bardzo nas interesowało.

Aż przyszedł dzień 17 września, kiedy to dowiedzieliśmy się o wkroczeniu wojsk radzieckich. Na wszystkich ludzi padł strach. Po paru dniach pobliską szosą zaczęły się toczyć oddziały wojskowe, czołgi, armaty, zaprzęgi konne no i żołnierze rosyjscy w charakterystycznych czapkach. My z bratem z ogródka przed domem (mama nie pozwalała zbliżać się do szosy) oglądaliśmy wkraczającą obcą armię.

Do mamy przyjechali radzieccy wojskowi, żeby zarekwirować siano i owies dla wojska. Trzeba było oddać za darmo. Przemarsz wojska radzieckiego trwał kilka dni i pewnego dnia zdarzyło się, że z pobliskiego pola padł strzał. Natychmiast parę czołgów skierowało się do naszego domu, żołnierze wpadli do mieszkania: „kto zdień strieliał?!”. Mama przerażona odpowiada, że nie ma tu nikogo prócz niej i dzieci. Zrewidowali całe obejście, dom, nie znajdując żadnej podejrzonej osoby ani broni odjechali. Byliśmy bardzo wystraszeni. Mama zabrała nas i zaraz poszliśmy do pobliskiej wsi, gdzie mieszkała i pracowała jako nauczycielka kuzynka mamy.

Wróciliśmy po paru dniach, po przejściu wojsk radzieckich. W tym czasie dom był pod opieką znajomego Białorusina z sąsiedniej wsi. Mama

bardzo bała się, więc poprosiła aby rodzina Białorusina zamieszkała z nami. Na razie było dość spokojnie, więc po paru dniach wróciliśmy do domu.

Zapanowała „radziecka władz”. Wojskowi przyjeżdżali, żeby zarekwirować siano, zboże, ziemniaki dla wojska. Zabierano bez żadnej zapłaty. Pewnego dnia przybyli chłopci z pobliskiej wsi i jako przedstawiciele nowej władzy zabrali nam część mebli, tapczan, kanapę, stoliki, krzesła itp. uważając, że nam nie są potrzebne, a im przydadzą się. Zostawili pokwitowanie w formie malutkiej karteczki tylko z podpisem odbierającego, bez żadnej pieczęci. Tak więc dom nasz obrabowany z mebli wyglądał ogromnie smutno.

Szła zima, wieczory długie i ciemne napełniały mamę strachem, tym bardziej, że zaczęły krążyć wiadomości o napadach na osadników, pożarach. Zaczęły się również aresztowania. U nas w Chlewiszczach aresztowano wójta p. Olesiaka, a gospodarstwo p. Kitrasa spalono. Mama cieszyła się, że nie ma tatusia, z pewnością zostałby aresztowany.

Gdzieś chyba w listopadzie otrzymaliśmy kartkę pocztową od ojca. Pisał po rosyjsku, że żyje, jest zdrow, i przebywa w Starobielsku. Była to dla nas wielka radość, że nie zginął, że jest po tej stronie i być może niedługo wróci. Nie wiedzieliśmy jak okrutny los już wkrótce spotka go. Mama odpisała na podany adres: Starobielsk skrzynka pocztowa nr 15, ZSRR i po jakimś czasie przyszła znowu kartka, już pisana po polsku, ale również bardzo krótka. I to była ostatnia

wiadomość od tatusia.

Chyba w październiku zamieszkała u nas rodzina osadników z sąsiedztwa, którzy dotąd mieszkali w Drohiczynie, p. Rawicka z córką i synem oraz młodą kuzynką. Kapitan Rawicki również był w Starobielsku i tam też zginął.

Przyszły Święta Bożego Narodzenia, bardzo smutne, bez tatusia, pod strachem, że może spotkać nas coś złego.

W tym czasie odbyło się głosowanie, po którym zostaliśmy obywatelami radzieckimi.

Nastała śnieżna, mroźna zima. My dzieci nie odczuwałyśmy tak bardzo tej ciężkiej sytuacji, ale wyobrażam sobie co przeżyła wtedy moja mama.

Przyszedł 10 luty 1940 r. W nocy usłyszeliśmy walenie do drzwi i głos „sobirajties z wieszczami”. Weszło kilku ludzi, wśród nich miejscowi chłopci i kazali nam się pakować, do wyjazdu w daleką podróż, do ZSRR. Mama nie bardzo wiedziała od czego zacząć, oni podpowiadali: brać ciepłą odzież, pościel, żywność itp. Popakowano i powiązано w węzły co się dało, załadowano nas na sanie, które stały pod domem i ruszyliśmy na stację kolejową. To samo zrobiono z rodziną p. Rawickiej.

Na stacji zobaczyliśmy wagony towarowe, do których pakowano po kilka rodzin takich jak my. Nas załadowano do jednego z nich. Były tam po dwóch stronach drewniane, piętrowe prycze a na środku żelazny piecyk. Rozmieściliśmy się na pryczach i czekaliśmy co będzie dalej. Tymczasem przywożono następnych osadników z dalszych osad, na peronie przed wagonami stali żołnierze

radzieccy z karabinami i nie puszczaali nikogo do wagonu.

Po paru godzinach pociąg ruszył. Pojechaliśmy w nieznane. W wagonie zimno, ciasno, ciepło tylko przy piecyku, w którym paliły się szczapy drewniane, dalej na ścianach szron, pościel przymarzała do ścian. Małe dzieci płakały, ludzie się modlili, i bali się przyszłości. Nie głodowaliśmy, gdyż mieliśmy trochę żywności z domu, gorzej było z małeńkimi dziećmi, które potrzebowały mleka.

Pociąg jechał i jechał na północny wschód. Tak minęło parę tygodni.

Na początku marca wysadzono nas wśród lasów w posiołku Nuchto Oziero w rejonie Plesieck, Archangielskiej oblasti. Zakwaterowano w długich barakach z dwoma piecami na środku. Po jakimś czasie przegrodzono te baraki na mniejsze izby po 6 - 7 osób w każdej.

Kazano przygotować się wszystkim dorosłym do wyruszenia nazajutrz do pracy. A praca to wyrąb i obróbka drewna. Do wyrębu mieli iść silni mężczyźni, a do pozostałych robót młodzież i kobiety. A tu śniegi powyżej pasa i trzaskający mróz, nie mieliśmy ubrań nadających się na taką temperaturę do pracy w lesie. Zaczęto więc szyc rękawice, przygotowywać ciepłą odzież, co kto miał.

Do pracy trzeba było brnąć parę kilometrów przez wysoki śnieg. Kiedy mama wracała z pracy była cała oszroniona, a skóra na twarzy po pewnym czasie zbrązowiła jej jak u Indianina. Bardzo było ciężko słabej kobiecie.

W posiołku był sklepik, gdzie kupowaliśmy przydział chleba, sól;

a także stołówka, w której można było kupić czaj z konfietami (herbatę z landrynkami zamiast cukru) oraz jakieś zupy: rybną, szczy (kapuśniak) i kaszę kraszoną olejem. Dla stachanowców (przodowników) był czasem gulasz z paroma skwarkami mięsa.

Ponieważ zarobki w lesie były bardzo małe mama sprzedawała co się dało z przywiezionych rzeczy żonom radzieckiej administracji, na przykład ubrania tatusia, sukienki, a potem nawet pościel. Czasem udało się kupić trochę mleka za te rzeczy. Brat Tadzik został zobowiązany do uczęszczania do tutejszej szkoły do klasy czwartej, najwyższej zresztą w tej szkole. Dla mnie klasy nie było. Trochę pracowałam z mamą przy obróbce drewna, a poza tym gotowałam jakąś zupę w baraku, jeśli było z czego (kilka razy dostaliśmy paczki od cioci z Kobrynia, z którą mama nawiązała kontakt. Przesyłała kaszę, mąkę, trochę tłuszczu).

Latem chodziliśmy z bratem na grzyby i jagody, których było mnóstwo. One to często ratowały nas przed głodem i szkorbutem. A te przyszły wraz z wybuchem wojny radziecko-niemieckiej. Przydziały chleba ograniczono coraz bardziej, a w stołówce była tylko zupa z kiszonych zielonych pomidorów i czasem trochę kaszy.

I tak żyliśmy na radzieckiej ziemi, z której już nigdy, według słów naszych posiołkowych władz, nie mieliśmy wrócić do Polski.

Mama wiele razy pisała do tatusia, do Starobielska, ale nigdy nie nadeszła odpowiedź. Wtedy ojciec już nie żył.

Poszukiwała również dwu siostr z rodzinami, które do roku 1936 mieszkały w Mińsku, ale nigdy nie poznała ich dalszych losów.

Aż nadeszła jesień 1941 r. Nasze posiołkowe władze ogłosiły, że jesteśmy wolni w związku z podpisaniem umowy przez gen. Sikorskiego z rządem radzieckim.

Mama natychmiast zaczęła z grupą znajomych organizować wyjazd na południe ZSRR, aby przybliżyć się do organizującego się tam Wojska Polskiego. Sprzedała resztki lepszej garderoby, przygotowała zapasy na drogę, trochę suszonych w plasterkach ziemniaków i małe zapasy sucharów z tego co mogła zaoszczędzić na i tak głodowych przydziałach chleba. W końcu października czy w listopadzie ruszyliśmy na południe wynajętym towarowym wagonem.

Straszna to była podróż, głód, choroby.

W Kotłasiu zgubiliśmy z mamą nasz wagon, a w nim małego 12-letniego Tadzika. Wyszliśmy aby kupić lub uprosić od kogoś z mieszkańców Kotłasu trochę chleba, po powrocie na stację nie zastałyśmy naszego wagonu. Został doczepiony do jakiegoś pociągu i pojechał. Zaczęłyśmy różnymi pociągami (towarowymi, wojskowymi, sanitarnymi) gonić nasz wagon. Potem mama wsadziła mnie do jakiegoś wojskowego pociągu jadącego do Kirowa, a jej nie pozwolono wsiąść i tak rozdzieliliśmy się z mamą.

Co przeżyliśmy, trudno opisać. Ale najwięcej przecierpiał mój braciszek. Żywiąc się, czym kto dał, zachorował na dezynterię, z której wywiązała się gruźlica jelit, w wyniku której zmarł 31 maja 1942 r. w szpitalu w Teheranie. My z mamą cudem spotkałyśmy się dzięki kolegom tatusia, osadnikom z Polesia, w Taszkencie i stamtąd pojechaliśmy do Dżałabadu w Kirgizji. Tam po miesiącu przyjechał nasz wagon, a w nim, biedny schorowany Tadziczek.

Zamieszkaliśmy w sowchozie Frunze 15 km od Dżałabadu. Zaopiekowało się nami Wojsko Polskie stacjonujące w Błagowieszczeno w pobliżu Dżałabadu, ponieważ uznano nas za rodzinę wojskową po pokazaniu przez mamę kartek pocztowych od Tatusia ze Starobielska.

W końcu marca 1942 r. zabrano nas do Krasnowodska i po przepłynięciu statkiem Morza Kaspijskiego znaleźliśmy się we troje w Pahlewi, w Iranie.

Po kilkumiesięcznym pobycie w obozach polskich w Teheranie, gdzie zmarł mój brat, wyjechałyśmy z mamą, wraz z grupą Polaków do Afryki, do osiedla Ifunda, skąd po pięciu latach, w lipcu 1947 r. wróciłyśmy do Polski.

Ja po ukończeniu Liceum Pedagogicznego podjęłam pracę jako nauczycielka w Kurnosie woj. łódzkiej a od 1986 r. jestem na emeryturze. Mam męża, troje dzieci, i sześcioro wnucząt.